



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Pierwszy zjazd kobiecey

W CZECHACH.

(Dalszy ciąg).

O działalności kobiety w rodzinie przemawiała pani Miloslawa Prohazkowa z Olomuńca, b. redaktorka „Domoci gospodynie“ i „Weselki.“

Rodzina w tym stosunku, jak dziś się wytworzyła, jest wynikiem cywilizacji, a zarazem dziś stała się podstawą społeczne odnoszą się w końcu do pojedynczych członków rodziny i dotykają ich mniej lub więcej. Rodzina wytwarza siły pracujące w społeczeństwie, od których postęp danego narodu zależy, a zatem źle czyni naród, który nie dba o dobro swych rodzin.

Jeżeli mąż w rodzinie jest głową, to kobieta jest duszą, powinna być zatem równie doskonałą jak mąż, bo na jej odpowiedzialności spoczywa przyszłość dzieci, a co zatem idzie obywateli kraju.

Dobro narodu funduje się na szczęściu rodziny, dla tego wszelkich sił dokładać należy, żeby rodziny były i mogły być uczciwe.

Przedewszystkiem więc trzeba zwracać uwagę na warunki nowozawiazywanych rodzin i kierować się przytem więcej sympatją dusz, niż innemi względami. Tymczasem obecnie zawierane małżeństwa wprost dla zapewnienia utrzymania, lub w obec zamożności panny dla stanowiska i tytułu, bez względu nietylko na brak sympatii, lecz nawet pomimo wstępu do przyszłego małżonka, często bez względu na sterane siły i zdrowie tegoż, nie mogą zapewnić szczęścia rodzinie.

Aby zapobiedz tego rodzaju związkom, które nie mogą dać dobrych i zdrowych obywateli ojczyźnie należałoby córkom zapewnić odpowiednie wykształcenie, aby zarobić na siebie umiały i niepotrzebowały szukać w małżeństwie utrzymania za jakąbądź cenę; oraz wychowywać dziewczęta wszystkich stanów nie tak płocho, aby lała czezy tytuł, stanowisko lub elegancka suknia i urządzenie domu było celem ich życia, który decydowałyby się okupić osobistą wolnością.

Prócz należytego wychowania dzieci, którem powinna kierować matka i w którym głównym czynnikiem powinien być dobry przykład, trzeba, aby przyszła gospodyni umiała zarządzać gospodarstwem, bo od tej znajomości zależy ruina małych i wielkich domów, a więc w tym względzie należało by przygotować każdą pannę. Dla tego proponuje p. Prohazkowa, aby przy szkołach otworzono kursa gospodarstwa domowego i gotowania.

Tenże temat rozwija pani Marja Sonezkowa z Chrudimu, mówiąc, iż kobieta, jeżeli chce osiągnąć ideału, być ozdobą domu, radością męża i pociechą dzieci, powinna wiedzieć, jak wielkie i ciężkie obowiązki przyjmuje na siebie, wyrzekając przed ołtarzem krótkie: „mam.“ Panny wstępując dziś w związki małżeńskie bardzo lekkomyślnie, nie zdają sobie wcale sprawy, jak ważną rolę wykonać mają w życiu społecznym. Poświęcają tyle czasu przygotowaniu wyprawy i urządzeniu domu, iż braknie go na poważne zastanowienie się nad przyszłemi obowiązkami, dla tego często przeciw nim grzeszą.

Panna wychowująca się na przyszłą żonę i matkę uczy się języków, podwójnej buchalteryi, malowania na porcelanie i atlasie, ale niema pojęcia o fizycznych i duchowych potrzebach dziecka, o cenach produktów spożywczych oraz elementarnych zasadach sztuki kulinarnej.

Z tego powodu pierwsze lata po ślubie nieraz krwawemi oplakane są łzami, bo są pełne prób i zawodów w pielęgnowaniu dzieci, które często życiem przypłacają nieświadomość matki, oraz dotkliwych strat w gospodarstwie. Radzi tedy pani Sonezkowa, żeby do kursów nauk szkolnych dodać koniecznie wykłady higieny, pedagogiki i gospodarstwa domowego.

Do życia rodzinnego włączoną została jedna z największych cnót słowiańskich gościnność, o której nadesłała referat pani Elena Szolteszowa, literatka ze Słowacka.

Autorka widzi w upadku gościnności wielkie zło, raz z powodu, iż przejęty od Niemców zwyczaj przepędzania wolnego czasu w restauracji i kawiarni przez mężczyzn pozbawia rodzinę towarzystwa, opieki i rady ojca i męża w zupełności. Czas bowiem wolny od obowiązku spędza mąż, ojciec i syn dorośli poza domem, jakby w gronie rodziny nie mógł, czy nie chciał znaleźć odpowiedniego towarzystwa. Następnie schodzenie się w niedzielę i święta całych rodzin także w miejscach publicznych uważa za krępujące stosunki towarzyskie i swobodę—radzi tedy, aby zaprowadzić dawny zwyczaj przyjmowania gości w domu, a jeżeli tylko nie będzie przesadzania się w zastawie, lecz ograniczać się będą na skromnym poczęstunku, to nie obarczy zbyt budżetu domowego, a wpłynie na serdecniejsze stosunki i lepsze wzajemne poznanie. Można przy tej sposobności zaprowadzić zwyczaj głośniego czytania, z czego wywiązuje się pouczające starcie zdań.

Obowiązki kobiet względem narodu rozstrząsało kilka osób.

1. Podniesienie skali patryotyzmu w kobietach wzięła za temat pani Anna Jehliczkowa z Tabora.

Aby pracować w jakimkolwiek kierunku trzeba go przedewszystkiem należycie poznać. Miłość ojczyzsty kraju mogą odczuwać tylko ci,

którzy znają go dobrze i interesa jego. Do tego prowadzi nauka historii, geografii i zapoznawanie się z bieżącymi kwestyami kraju, a zatem z polityką. Od matki jako kierowniczkę rodziny zależy wyrobienie danych poglądów w dzieciach. Wzywa tedy czeskie kobiety aby badały historię ojczyzny, bo ona wykazuje zalety narodu, które nam wzorem być mogą, oraz wady, których unikać należy. Radzi też pilnie śledzić obecny stan interesów krajowych choćby ze względu na męża, który znalazłszy w żonie świadomego towarzysza, nie będzie szukał kolegów w celu wywnętrzenia się ze swych zapatrywań politycznych, czem się zyska nie jedna chwila dla rodziny, oraz ze względu na dzieci, którym matka objaśniać i przewodniczyć powinna w wyrobieniu myśli i poglądów na daną kwestję.

2. Organizację pracy na polu patriotycznym i ekonomicznym projektował pan profesor Wilhelm Kurz, poseł do parlamentu.

Dzieli on swe przemówienie na dwie części:

1. Do czego już Czeski doszły.

Kobiety przejęły w swe ręce prawie wyłączenie:

- a) Dział dobroczynności;
- b) „ wychowawczy;
- c) „ literacki uprawiają z powodzeniem;
- d) „ stowarzyszenia i czytelnie.

Wszystkie te wyżej wymienione działy prowadzone są przez kobiety bez zarzutu i doskonala się coraz bardziej; w dobroczynnym pozostaje do życzenia, aby pod względem opieki nad młodzieżą szkolną doszło do tego, żeby żadna biedna rodzina nie była zmuszona kępować się brakiem środków w wykształceniu swych zdolnych dzieci.

2. Brakuje nam dotąd:

a) szczególnego zamięłowania i pracy na polu popierania rozwoju patriotyzmu, co osiągną kobiety poświęcając się studjom w tym względzie, jak radzi pan Jehliczkowa;

b) na polu ekonomicznym, czego osiągnąć możemy przez popieranie handlu i przemysłu krajowego. Zamożność obywateli stanowi bogactwo kraju. Należy się przeto wszelkimi siłami wzajemnie wspierać, aby pieniądze przez nas krwawo zarobione nie przechodziły w ręce Niemców.

Nie powinny kobiety lekceważyć swych wydatków, bo z drobnych kwot składają się miliony. Wyliczono, że gdyby na 7,000,000 ludności Czech, było tylko 1,000,000 rodzin, a każda z nich wydawała dziennie 1 guldena, wydatek roczny wyniesie 365 milionów guldenów, które należy użyć na poparcie przemysłu i handlu krajowego, a nie oddawać w obce ręce, które używają je często za broń przeciw nam zwróconą jak np. zakładanie niemieckich szkół dla czeskich dzieci.

Dalej aby przy wychowaniu chłopców matki stawiały im za cel osiągnięcie wysokiego stanowiska i dorobienie się majątku handlową lub przemysłową drogą -- wtedy synowie nie zadowolnią się podrzędną posadą lub byle jakim dochodem, lecz będą dążyć coraz wyżej, co z jednej strony poprawi ekonomiczny stan kraju, z drugiej opróżnią się miejsca przystępne obecnie dla kobiet.

3. W kwestyi zainteresowania się czeską literaturą i sztuką mówiła pani Paola Maternowa, literatka z Pragi, że na arystokrację rodową i pieniądze liczyć nie można, ponieważ ona raczej popiera literaturę obcych narodów, tak jak używa obcego języka. Klasa robotcza też względnie popiera literaturę zagraniczną, gdyż najchętniej czytuje tłumaczone romanse. Pozostaje zatem klasa średnia i lud, które trzeba koniecznie zachęcić do czytania rzeczy swojskich. Zachęta może być poparta pożyczaniem książek, lecz w bardzo umiarkowanym stosunku, bo bażda rzecz otrzymana darmo mniej się ceni; względem zamożnych, którzy nie żałują wydatków na zbytki, systematyczne pożyczanie książek jest wprost grzechem. Odejmuje ono bowiem im możność i potrzebę popierania literatury i jej twórców. Piekarze, szewcy i t. p. dorabiają się majątku, bo ich wyroby trzeba kupować na własność osobistą, kiedy tymczasem pracownicy ducha żyją

z dnia na dzień, bo nie ma zapotrzebowania na liczniejsze wydawnictwa ich dzieł, gdyż jedną książkę czyta nieraz 50 osób.

Toż samo dałoby się zastosować do obrazów i innych utworów sztuki, zamiast kupować swoje, nabywamy chętnie prace obcych artystów, bo zdaje się, iż to właśnie robi nam reklamę.

4. O popieraniu czeskiego przemysłu, mówiła panna Pawła Wagnerowa, zachęcając wszystkie kobiety pracujące na tem polu do wzajemnego zbliżenia się i wzajemnej pomocy, czego by można dokazać za pomocą odpowiedniego stowarzyszenia. Zaznacza przy tem, że pieniądze zarobione przez kobiety czeski nieogłędnie popierają handel niemiecki i żydowski, (co na jedno wynosi, gdyż żydzi w Czechach trzymają się strony niemieckiej). Przyczynę tego znajduje w wysokich cenach nakładanych na towary przez kupców czeskich, zachęca zatem do zrównania takowych.

Nazajutrz rozprawy zaczęła pani Karolina Samkowa z Trzebiwlic referatem: Kobiety w handlu. Przedewszystkiem zarzuca w ogóle handlowcom czeskim brak uczuć patriotycznych, bo wielu z nich, nie chcąc psuć sobie interesów, nie przystają otwarcie do strony czeskiej, mówiąc, że są przedewszystkiem kupcami. Dalej radzi, aby kobiety garnęły się więcej do handlu, czem zdobywać będą po trochu pole działalności zajęte dotąd przeważnie przez Niemców i żydów, a zatem przyczynią się do powiększenia bogactwa narodowego. Przedstawia, że handel zapewnia bardziej niezależny byt niż inne działy pracy uprawiane przez kobiety. Dalej powiada, iż kobiety zapewniwszy sobie samodzielną egzystencję nie będą zmuszone uganiać się za zamażpójściem, które w dzisiejszych warunkach jest przeważnie interesem handlowej natury.

Dział o prawach kobiecych składał się z trzech referatów.

Dalszy ciąg wychowania dziewcząt po za obowiązkowym wykształceniem elementarnym, projektuje panna Sztorchowa, nauczycielka z Berouna. Zaczyna od tego, że dziewczęta po skończeniu szkoły obowiązującej kształcą się przeważnie w językach, muzyce, śpiewie, lub praktycznie w szyciu i gotowaniu, a w towarzystwie prócz flirtu i plotek nie mają innych rozrywek.

Wychodząc z zasady, że 14 letnia dziewczyna t. j. po przepisany wieku szkolnym nie może być dostatecznie uzdolniona ani umysłowo, ani fizycznie do poważnej pracy, radzi, aby utworzyć obowiązkowe szkoły wyższe, dostępne dla dziewcząt wszelkich stanów tak ze względu opłaty, jak czasu. Aby mogły do szkoły tej uczęszczać nawet dziewczęta zmuszane w tak młodym wieku zarabiać na siebie, lub pomagać w domowym gospodarstwie, proponuje, aby wykłady odbywające się po dwie godziny, trzy razy tygodniowo wieczorem; przy czem kurs trwał by dwa lata. Uczono by tam historyi i literatury czeskiej, pedagogiki, higieny i gospodarstwa domowego.

Rezultatem tej rozprawy był projekt wystosowania odpowiedniej petycji do sejmu czeskiego.

Wolny wybór zajęcia podług zdolności i powołania—oraz wolny przystęp do wykształcenia wszelkiego rodzaju, stanowił treść pani Teresy Nowakowej, redaktorki Żenskigo świata w Pradze.

Przedstawiła ona przedewszystkiem wielki postęp, jaki kobiety uczyniły zwłaszcza na polu naukowym, przytaczając przy tem nazwiska najslawniejszych. Zaleca walkę kobiet przeciw przesądom starych czasów, aby mogły zająć odpowiednie miejsca w pracy ducha. Dotąd zwracano uwagę tylko na ciało kobiety, dziś przyszła kolej na jej duszę. Jeżeli kobieta musi podobnie jak mężczyzna odżywiać swe ciało, czemu nie ma odżywiać swego ducha, który się też o swe prawa upomina. Czego dokazały by kobiety, gdyby otrzymywały jednakowe z mężczyznami wykształcenie przesądzać się nie da. To, do czego dziś doszły, jest sztuczne; składały się na to nadzwyczajne warunki—nie powinny być zatem brane za miarę. Dopiero przyszłość może wykazać różnicę zdolności, o ile jednakowe będą przygotowania do pracy. Kobiety nie dla

tego powinny się domagać równouprawnienia, żeby zdobyć sobie wygodniejszą egzystencję, lecz dla tego, że jako ludzie mają do tego wszelkie prawo. Tymczasem dotąd w wielu rodzinach działa się tego rodzaju niesprawiedliwość, że na wykształcenie niezdolnego syna wydawano tyle, iż brakło potem środków, na kształcenie najzdolniejszej choćby córki. Cytuje przy tem słowa pani Karoliny Swietli, która płakała, iż się uczyć nie może, podczas gdy, kuzyn jej płakał, że się uczyć musi! Domagajmy się tylko sprawiedliwości, nic więcej!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Memento wiosenne.

W akordem śmiechu drżąca,  
Wiosno polska, ty skrzydlata,  
I złotawa od przedz słońca!  
Z dziewiczego twego tchnienia,  
I z twych kwiatów urok wzlata,  
Co szron srebrny w lży ros zmienia,  
A chmur mroki w jasne swity  
I w przezroczy szlak różany,  
W namiot z płócien modrych tkany,  
I ćwiekami gwiazd nabity!

I tak plyniesz jak widzenie,  
Co przed oczy staje we śnie...  
I tak mgławo, bezcieleśnie,  
I od włosów twoich złota  
Blaski biją na przestrzenie,  
Aż uspionych pól martwota  
W tej powiewnej świata sieci  
Odmłodzonym drga oddechem  
I ku tobie jak odśmiechem  
Seledynem ruń zaświeci...

Plyniesz górą i doliną,  
Ciemną głębią oceanu,  
Tonią jezior srebrnosiną,  
I w tryumfu tym pochodzie  
Niosą ciebie miast rydwanu,  
Skrzydła ptaków rozwinięte  
I obłoków żagle wzdęte,  
I jak szarfy tkanka cienka  
Tak owija cię jutrzienka,  
Gdy jej błysnie róż o wschodzie.

I śnieg wonny też co z kwiatów,  
Ledwo, ledwo zróżowiony,  
Z drzew zdmuchujesz na zagony  
I na smętną szarość ziemi...  
I czar taki jak z zaświatów  
Skrzydły wiejesz promiennemi,  
Na drzemiące róże białe,  
Że roztula im korony  
W puchach śnieżnych odrętwiałe,  
I przywraca blask miniony!...

O! ty jasna pól tych ksieni!  
Ty jak bóstwo masz ołtarze  
Z mozaikowej traw zieleni...  
Z drzew listowia baldachimy,—  
I ku tobie, by w puharze  
Z koron róży cudne wonie,  
Jak kadzidel płyną dymy...  
I zbóż złotych pierwsze ziarna  
Tak błyskają na zagonie,  
Jakby ziemi dań ofiarna...

I przed tobą kwiaty wschodzą  
I oddają ci poklony;  
I pod stopy mech dywanem  
Miętko ściele się srebrzony;  
I w powietrzu tem różanem  
Jakieś słodkie chóry płyną,  
I nie widno z kąd się rodzą,  
I chwytają tak za serce,  
Rozpływają się i giną,  
Uciekając w łąk kobierce.

I głos echa rozmodlony  
Ich melodyi niesie strzępy...  
Czy te cudne, miękkie tony  
Idą z światła gwiazd różowych,  
Czy z tych dzwonek leśnych kępy,  
Srebrnobiałych i liljowych?...  
Czy w kwiat każdy są zaklęte  
Złoty strun odgłosy śpiewne,  
Pół radosne i pół rzewne  
I jak łzami przesłonięte?...

I tak grają jak na lirze,  
Kiedy je twój oddech trąca...  
I wlatują tak do słońca,  
Jakby dzwony i jak spiże;  
I tak grają w ciemnym borze  
Coraz głośnie, coraz świetniej  
Aż ścichają potem senne,  
Ulatując na rozdroże,  
Jak trzciny dźwięki fletni  
W twe wieczory półpromienne...

O! precudna ty królewno!  
Czemu blask twej szaty śnieżnej  
I rozpięte na niej róże,  
Rodzą we mnie ból bezbrzeżny,  
I mgłę wspomnień taką rzewną,  
Że głos drogich w smętnym chórze  
Zda się z ranną płynie rosą,  
Żeby wskrzesić w dawnej sile  
Tych, co w cichej snów mogile  
Śpią, jak kwiaty ścięte kosą...

Wiosno cudna! nad mogiły  
Skrzydeł wiewnych ponieś loty  
I z szat gazy kwietne pyły  
Tak otrząśnij jak puch złoty...  
I niech kwiaty z nich wystrzelą,  
Z twego wezmą woń oddechu,  
I darn ciemną niech ubiełają,  
By i do tych w szarej ziemi  
Dźwięk doleciał twego śmiechu  
Akordami perlistemi...

*Mila Smochowska.*

## OD KOMITETU BUDOWY

pomnika Mickiewicza w Warszawie.

### WEZWANIE DO SKŁADEK.

Powołani do wzniesienia pomnika największemu z poetów polskich, a zdając sobie jasno sprawę z odpowiedzialności za należyte wykonanie tego dzieła, przystępujemy do pracy z tem większą otuchą, że czujemy się być wykonawcami woli społeczeństwa ofiarnego i solidarnego. Życzenia jego zrozumieć było naszym pierwszym zadaniem; wszystko, co dalej

czynić mamy, będzie już tylko wybieraniem najprostszyc dróg do osiągnięcia upragnionego celu.

Na teraz, gdy formalności, co do zbierania składek przez redakcję pism i kasę Komitetu zostały już załatwione; gdy nadto poczynione są kroki co do uzyskania placu pod pomnik i wyboru artysty, który ma dzieła dokonać,—pozostaje rzecz najważniejsza do spełnienia: zebranie odpowiedniego funduszu.

Pisarzowi, który kochał „za miliony,“ miliony pomnik wzniesić winny, to też wierzymy, że ofiarność ogółu będzie nie tylko hojną, lecz i powszechną. Odwołując się teraz do niej, dajemy tylko hasło, że czas już gromadzić fundusze, bo dzień 24 grudnia 1898 roku, w którym pomnik stanąć ma gotowy, jest już blizki.

Wierzymy również, że nikt nie będzie się powstrzymywał od przesyłania darów choćby najdrobniejszych, bo czuje to ogół, że na pomnik Mickiewicza złożyć się powinny i hojność bogatych i wdowie grosze maluczkich. Bogaci niech dają wiele, ubodzy—co mogą.

Razem więc w imię Boże bierzmy się do dzieła, pomnażając, że tylko Naród, umiejący uczyć swych Wielkich, godzien jest miana Narodu.

Za Przewodniczącego

*A. Kłobukowski.*

Sekretarz

*Z. Wasilewski.*

Warszawa, 24 maja 1897 r.

## PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

*(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.)*

(Dalszy ciąg).

Duch Grecji zstąpił z wyżyn Parnasu, z tego Parnasu, który był ojczyzną Apollina, władcy muz, córek Mnemony. Z wyżyn tych przyniósł on z sobą świat jasny, pogodny, słoneczny, świat radości i zachwytów. Przyroda trysnęła na niego Kastalskim źródłem natchnień poetycznych, a była ona cała świątynią piękna, miłości i rozkoszy. Każda cząstka tej przyrody podlegała władzy pewnego bóstwa. Nimfy, Dryady, Satyry i Fauny żyły w głębiach lasów i przestworach wodnych. Każda cząstka ducha ludzkiego miała swoje bóstwo, które nią rządziło.

Z tej mitologii greckiej, nacechowanej antropomorfizmem, popłynął na przyrodę cała i na duszę ludzką ożywoży strumień poezji. Świat cały dla Greka to Kosmos, to porządek, to ład, to piękno i harmonja. Do tej harmonii dostroiły się dusze synów Hellady, zapatrzone w piękno przyrody i bóstwa.

Duch Greka dalekim był od myśli, że natura jest podnóżkiem Stwórcy. Przeciwnie!—bogowie Hellady żyją wspólnie z ludźmi, żyją ich życiem ziemskim, kochają, jak oni, cierpią i mają nawet wady ludzkie. Gdy znowu na ziemi Hinduzów bóstwo w przyrodzie pochłaniało człowieka, pod niebem Grecji występuje on jako jednostka samodzielna, mająca swe istnienie odrębne; gdy Hinduz żył w przyrodzie, Grek żyje z nią razem. Śród pięknych, żyznych dolin swej krainy, gdzieniegdzie górami poprzerzynanych, pod niebem pogodnym, karmiony ożywczymi sokami przyrody zdrowej, jędrnej, nie rozmiękczej

zbytecznie ducha i ciała, żyje on życiem pełnym, szerokim, rozwija harmonijnie wszystkie swe władze naturalne, walczy z przeznaczeniem, zdobywa ideał dobra i piękna w ziemskim byciu swoim.

We wcześniejszej dobie życia narodowego, Grecya spoglądała na naturę okiem napół-dziecięcem, stroiła w jej krasę pieśni swoje, ale nie umiała jeszcze tchnąć w nią ducha własnego. W pieśniach Homera niema indywidualnego odczucia przyrody, są w nich tylko luźne obrazy, niekiedy piękne przenośnie, ale nie drga w tych obrazach i przenośniach kochające naturę serce czlowieczne. Widzimy tam odtworzenie przyrody czysto przedmiotowe, mówi ona sama za siebie; duch piewcy niknie poza pieśnią. Poeta ogląda i maluje naturę, ale jej nie odtwarza mocą ducha własnego; nie widzi też piękna jej zjawisk oddzielnych, ma tylko niejasne, napół-swiadome, dziecięce poczucie związku swego ze wszechświatem. Przyroda stanowi tu i owdzie ramy wizerunku, a nie sam wizerunek; bywa ona „jasnym słońcem,“ które „z głębin mórz czystej się budzi, aby świeciło bogom i zagonom ludzi;“ bywa „oblakiem mgławym,“ na którym „Tetis z fal na Olimp się podnosi,“ bywa wreszcie cudowną rzeźbą na tarczy Achillesa. Niekiedy miewa ona u Homera kształty, pełne harmonii wdzięcznej, ale nigdy nie bywa żywym bohaterem opowieści, nigdy nie płynie ku niej z duszy poety fala ukochania, serce śpiewaka nie ma jej nigdy nie do powiedzenia.

Z czasem harfa Eolska poruszyła głębsze struny, drgające w piersi przyrody, wydała tony delikatne, miękkie, bezpośrednio z ducha ludzkiego płynące, niekiedy nawet głębokie i namiętne. Ona to pierwszym słowem miłości zaręczyła serce Greka z naturą. Posłuchajmy pieśni Saffony, która pożąda od przyrody czarów ukochania:

„Gwiazdo wieczoru, ty przynosisz jednym

„Biesiadę miłą,

„Przyjaciół drugim niesiesz i rozkosze.

„Pod twoim promieniem

„Wesoła matka tęskniami oczyma

„Dziecię powita.

„Gwiazdo wieczoru, czyż dla mnie nic niema?

*(Przełatał Szujskiego.)*

Dalej Anakreon, prawdziwy kochanek przyrody, uwitej z róż, rozweselonej czarą Bachusa, upojonej miłością, wonnej, rozpieszczonej, pięknej, całując ją namiętnymi ustami kochanka, napelnia upojeniem i zachwytem. Przeciwnie, smutny, elegijny Symonides widzi wszystko we mgle melancholii. Wreszcie Pindar, spokojny, uroczysty, w hymnach swych i odach śpiewa pieśni poważne na cześć bóstw, ludzi i przyrody. Wszyscy ci pieśniarze nawiązali nić serdeczną pomiędzy sercem ludzkim, a naturą. Podmiotowość ich liryzmu pogłębiła uczucie, dała sercu ludzkiemu subtelniejszą, czysto osobistą wrażliwość na piękno w świecie otaczającym, pozwoliła pieśniom ich dać w obrazach przyrody tło, symbolizujące uczucia duszy ludzkiej.

Symonides kreśli wspaniałą obraz burzy morskiej, w którym mitologja z obrazem odtworzeniem przyrody jedną nierozłączną tworzą całość:

„Gdy malowaną arką ciosaną

„Ciskała morską nawała,

„W niebo szumiącą ciskając pianą,

„Padła, ze strachu drząc cała; (Danaja)

„Łzami zalana, dziecię porywa,

„Perseja tuli do łona

„I tak się smutna, kwiląc odzywa:

„Matka—ż ja biedna, strapiona!

„Ty śpisz spokojnie, śpisz, dziecię drogie,

„W przeklętej skrzyni kowanej,

„Śmieszki na liczku igrają błogie,

„A w koło czarne tumany,

„A na twych bujnych kędziorków kaskadzie

„Burza ci słońce pocałunki kładzie.“

„Straszno—dla ciebie świeci słoneczko;  
 „Wicht wyje—nie słyszysz wycia:  
 „Jak mi się śmieje lube ciałeczko  
 „Z purpurowego powicia!  
 „Gdyby ci serce trapiła trwoga,  
 „Skłoniłbyś ku mnie swe uszko,  
 „Słuchał, co mówi matka nieboga —  
 „Śpij tylko, śpij, moja duszko!  
 „Ach! żeby tylko i burza spała,  
 „Spała i w sercu mem troska;  
 „Żeby odmianę jaką zesłała,  
 „O Zeusie, wola twa boska!  
 „A jeśli grzeszne w trwodze o dziecinę  
 „Wyrzekła słowo, Zeusie, odpuść winę!“  
 (Przełożył I. Czubek).

Obok obrazowości niezwyklej, ileż tu ludzkiego wyrazu; jaka dziwnie poetyczna harmonja nastroju duchowego z wizerunkiem przyrody!

Pindar umiał też ożywić naturę i technąć w nią duszę ludzką. Pieśń jego buja „po krnąbrnej mórz topieli,“ wzlata na wyżyny wulkanów, „kiedy pierzchliwe z gardzieli głębokiej niedostępnych pożarów buchają potoki,“ wzlata ku szelestom płynnym Kastalskiej krynicy, pod słuchuje szumu skrzydeł orlich.

U tragiczków greckich: Eschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa przyroda stoi na uboczu i odzywa się zazwyczaj w chórach, wypowiadających ustępy liryczne, które drgają sympatycznym odczuciem natury. Niekiedy jednak przemawiają językiem przyrody i główni bohaterowie utworu. Posłuchajmy, *na przykład*, pieśni męczeńskiej Prometeusza w tragedji Eschylosa:

„O święta powietrzna przestrzeni,  
 „O wiatru powiewy skrzydlate,  
 „O źródła przeczyste płynących strumieni,  
 „O morskie wy fale, które blask rumieni,  
 „Śmiejące, wesole bez końca,  
 „O ziemio, ty matko, w ubiory bogata,  
 „Strojna od słońca!  
 „Ty słońce, wszechwiedną patrzące żrenicą:  
 „Patrzajcie, co boga od bogów dotknęło!  
 „Jaka hańba i jaka męczarnia!..“  
 (Przełożył J. Szujskiego).

W ustępie tym, przepysznym w obrazowości plastycznej, ból tytana, w ludzką przyobleczono postać, zwraca się do przyrody. W innym znowu, końcowym fragmencie tragedji, natura, poruszona władzą Zeusa, uderza całą swą potęgę w pierś Prometeusza. I tu również widzimy wspaniały, tytaniczny nawet wizerunek natury, w którą poeta wlewa kipiący war życia:

„Ziemia drga,  
 „Huczy grzmot po skałach,  
 „O ognistych błyskawice strzałach  
 „Świat w szatę odziały ogniową;  
 „Wicher gra,  
 „Gęste pędzi piasku uragany!  
 „Do walki zburzone powstają żywioły,  
 „Morze bije o niebiosów ściany,  
 „Niebo z falą miesza się pospoły!  
 „Takim na mnie idzie Zeus tumanem,  
 „Abym zdradził i uznał go panem.“  
 (Przełożył J. Szujskiego).

W obrazie tym przyroda oddycha życiem tytanów, wezbranem nieukróconą potęgę żywiołów. Tragedja odgrywa się nie tylko w losach bohatera, ale zarazem i w otaczającej go przyrodzie.

Natura zbliża się niekiedy ku nieszczęśliwemu tytanowi ze współczuciem, jak gdyby miała serce ludzkie. Córki Okeana zlatują ku męczeńskiej jego skale na skrzydłach ptaków, wołając:

„W nadmorskich nas grotach pobudził młot  
 [krwawy:  
 „Bledziuchne na twarzy i z kosą rozwianą,  
 „Z bosemi nóżkami my ptaszym rydwanom  
 „Wieść się kazały ku tobie.“  
 (Przełożył J. Szujskiego)

W tragedji Eurypidesa, który kochał naturę, i lubując się w samotności, dla uniknięcia zgiełku świata, zamieszkał pieczarę w Salaminie z widokiem na morze, bohaterka utworu, Fedra, rozmarzona uczuciem miłości, chce je powierzyć współczującej przyrodzie i woła: „O gdybym mogła pójść gdzieś na pola dalekie i napić się wody z czystego bijącego źródła. O gdybym mogła położyć się na kwietnej łące, ocienionej czarnymi topolami!“ Eurypides wprowadził do poezji przyrody uczuciowość, połączył ją węzłem szczerzej sympaty z sercem człowieczem.

W Sycylii, w owej uroczej Arkadyi pasterkiej, wśród pięknych dolin, otulonych siatką błękitu, rozpieszczonych ciepłem, które wlewa w żyły uczucie rozkosznego omdlenia, rozbrzmiewających śpiewem pasterzy i pasterek, gdzie bogowie we wszytkie bogactwa wdzięków przystroili naturę, kazały jej śpiewać, tańczyć, marzyć i kochać, w czasach późniejszych, bo już na trzy niecałe wieki przed Chrystusem, widzimy narodziny sielanki w pieśniach Teokryta, Biona i Moschosa. Opiewa ona cichy, słodki żywot wśród uroczej przyrody wiejskiej, wśród woni kwiatów i uśmiechów miłości. Znalazł jednak najcelniejszy z tych trzech poetów, Teokryt, naokół siebie już resztki tylko tego błogosławionego żywota pasterzy i pasterek i poniósł je za strunach liry w gwar życia rozwiązłego do pałaców Ptolomeuszów, lub Hierona Sycylijskiego. Tam lubowała się niemi cześćoż życia, tak samo, jak później na zepsutych dworach królów francuzkich. Dobiegały Teokryta ostatnie dźwięki pieśni pastuszych, więc chwycił ich tony często wiernie, niekiedy jednak z pewną przesadą i nie-naturalnością. Drga już jednak w pieśni tego poety nie naiwna, dziecięca radość na widok przyrody z czasów Homera, lecz uczucie głębsze, bardziej duchowe, pełne zachwytu świadomego, z pewną nawet dozą refleksji poetycznej, uczucie jednostki samodzielnej, wyzwolonej z więzów niemowlęctwa duchowego i naiwnej wiary. Słusznie też niektórzy pisarze nazywają Teokryta w odtworzeniu przyrody ojcem poetów—marzycieli czasów nowszych. To, co poeci nowocześni mówią tylokrotnie w tych, lub innych wyrazach, o udziale przyrody w biesiadzie miłosnej serca ludzkiego, znalazło już swój wyraz w pieśni śpiewaka sycylijskiego, gdy mówi, że powab jego kochanki tak pociąga naturę całą, iż gdzie się pojawi, tam wiosna rozkwita.

W pieśni Moschosa obrazy przyrody przekraczają niekiedy granice prostej sielanki. W wizerunku morza poeta ten nie odczuwa jeszcze nieskończoności, ale już z serca jego płyną ku falom—tęsknoty i marzenia. Dusza śpiewaka nie znosi wrażeń potężniejszych, nie znosi grozy, ucieka od niej w cienie gajów, gdzie „limba dźwięcznie szeleści.“ Syn wieku zniewieściałego otwarcie powiada, że zamiast łódki rybaczej, woli „sen słodki pod gęstym klonem, słuchając szmeru strumyka.“

Najbliższym może nowszemu odczuciu natury był jeden z poetów aleksandryjskich, Kallimach. Ożywia on przyrodę ciepłem ducha własnego, daje jej język serca, daje barwy malownicze i nastroj głębszy, zachwyca się nią szczerze i kocha ją dla niej samej. Przyroda u tego poety oddycha technieniem miłości, a miłość technieniem przyrody. Według słów jego pieśni, gdyby drzewa znały cierpienie i radość miłości, straciłyby swoją zielen.

Poezja grecka w odczuciu natury przeszła od Homera do epoki Hellenizmu cały proces rozwoju: od pociągu bezpośredniego, jakie czuje dziecko do piersi matczynej, aż do samodzielnego, głębszego, pełnego samowiedzy zachwytu jej pięknoscią; od metafory przedmiotowej do uduchowienia poetycznego przyrody, do uwydatnienia w niej nastroju duszy ludzkiej, do ukochania

wreszcie pojedynczych jej piękności i tworzenia potęgą słowa krajobrazów. Ostatnim wyrazem tego rozwoju są idylle pasterskie Longinusa.

Wszystko jednak, co wytworzyła poezja grecka w dziedzinie odczucia przyrody, odnośnie do czasów nowych przedstawia się w pierwotnym jeszcze stanie. Liryka Greków nie doszła do tej głębokości i tego bogactwa uczuć, które stworzyła dopiero poezja nowoczesna, i w której odbija się cały świat natury. Przeszedłszy od mitycznego do czysto poetycznego ożywienia przyrody, muza Hellenów nie zdołała jednak odczuć takiej głębi rozmarzenia i refleksji, jaką odczuwa poezja późniejsza na widok czarów natury. Dopiero większe bogactwo ducha w uczuciach i wiedzy—zdobycz nowej doby w dziejach ludzkości, mogło stworzyć hymn natury prawdziwie potężny, szeroką nutą rozbrzmiewający.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NAEASCÉ

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Po tej rozmowie Janina znowu posmutniała, znowu pełne zwątpienia myśli nawiedzały ją zaczęły. Romana nie było żeby jej dodać otuchy, w około siebie nie widziała nic prócz wrogich spojrzeń i uśmiechów szyderczych, których jej przedewszystkiem nie szczędziły Natalia i Adela. Hrabina postępowała otwarcie: na każdym kroku dawała jej uczuć swoje niezadowolone, co jej przychodziło tem łatwiej, że teraz nikogo obcego w domu nie było i Janina ciągle musiała być na oczach pani Żarnowieckiej.

Ta ostatnia ostentacyjnie uchylała się teraz od usług swojej wychowanki, w drwiący i dotkliwy sposób, przymawiając jej, że kiedy taki świetny los robi, powinna się więcej szanować.

Janina czuła, że nie wytrzyma długo takiego życia! gdyby mogła mieć nadzieję, że zostanie samą przez zimę w Żarnkach, jak to zwykle bywało! ale pani Żarnowiecka nie wybierała się w tym roku na karnawał, znajdując, że to wydatek zupełnie niepotrzebny, w obec tego, że Kamilla już ma narzeczonego. Zrobiła się skąpą odkąd się dowiedziała o stanie majątkowym przyszłego zięcia. Ale i ta decyzja,—poświęcenie—jak w duszy pani Żarnowiecka myślała—dla kobiety lubiącej świat i ruch towarzyski w mieście, przyczyniła się do zgorzknienia i tak już doprowadzonej do ostatnich granic cierpliwości hrabiny. Jedyną pociechą, ulgą i wytchnieniem była dla niej rozmowa z Natalią, coraz więcej w łaskach u hrabiny, do tego stopnia, że pobyt jej w Żarnkach miał się przeciągnąć w nieskończoność...

Miła perspektywa dla Janiny.

— Za co ona mnie tak nienawidzi? — pytała się nieraz w duchu, nie znajdując odpowiedzi.

Roman zaprzeczył, wysmiał jej przypuszczenia, ale czynił to niejasno, żartem, zbywając pół słówkami. Musi się dowiedzieć, musi go spytać całkiem seryo, jaka temu przyczyna. Niech wie przynajmniej czemu jej każe to znosić!

Kilkanaście dni mijało od wyjazdu Romana. Janina, w obec drwiącej hrabiny, w obec słodkiej ale dokuczliwej Natalii, pozbawiona towarzysztwa Kamilli zajętej narzeczoną, stawała się coraz bardziej podnieconą nerwowo. Jedyną osobą, która zdrową radą służyć jej mogła, szczerą, otwartą i życzliwą panną Olimpią, była zajęta pakowaniem i przygotowaniami do

odjazdu, że Janina nie śmiała jej zaprzętać swojemi osobistymi sprawami. Zresztą, Władysław ciągle był w domku szkolnym, dopiero od dwóch dni odjechał z polecenia księcia do Krakowa, w sprawach tego ostatniego, które załatwić wypadało przed podróżą.

Juliusz teraz codziennym gościem był prawie. I rzecz dziwna, Janina polubiła towarzystwo młodego chłopca! Głupi, nierozwinięty, dziecinny, serce miał złote i prawdą było to, czym się chwalił przed Romanem, „że jak kogo kocha, to kocha.” Janina bóstwem była dla niego i dałby się za nią porąbać w kawały; ona to poznała, widziała te oczy błędne, bez wyrazu, utopione w swoich źrenicach, jak oczy psa wernego, gotowego na każde skinienie czynić co pan sobie życzy i coraz go więcej lubiła.

Teraz, gdy ku zgorzzeniu wszystkich została narzeczoną Romana, nikt, nawet pani Adela nie mógł ją przecie posądzić, że ciągnie Juliusza i rozkochuje go w sobie? Co prawda, Natalia nie omieszkała uczynić złośliwej uwagi, że panna Janina ma teraz dwóch narzeczonych... Janina zaśmiała się, ale nie brała tej uwagi na serwo. Przechadzała się z Juliuszem po ogrodzie, chodziła nawet dalej, do lasu, nie widząc, żeby w tem było coś złego. Towarzystwo Juliusza nie przedstawiało dla niej żadnej rozrywki, to prawda, ale też i nie nużyło, bo mogła milczeć, gdy jej się podobało, a on nie przerywał tego milczenia, bo biedak niewiele o czem miał mówić i zwykle tylko czekał zapytania aby odpowiedzieć.

A jakie były ich rozmowy! Natalia, razem z Adelą miałyby cały tydzień śmiać się z czegoś, gdyby kiedy ich podsłuchiwały... Janina, nie mniej nie więcej, tylko udzielała rodzaju pogładowej nauki nierozwiniętemu umysłowo młodzieńcowi. Tłomaczyła mu własności kwiatów i roślin napotykanych po drodze, mówiła o niebie i ziemi, o ludziach i zwierzętach, jak dziecku. A on, do którego nikt nigdy w podobny sposób nie przemawiał, którego sierotę w domu o wiele starszej siostry męczono suchą nauką, bito różgą za lenistwo, a potem oddano do naukowego zakładu, jako zatwardziałego nieuka i tam znowu różgami napędzano rozum do głowy,—on patrzył w nią jak w tęczę, pochłaniał słowa z ust jej wychodzące, wysiłał się aby je rozumieć i rzeczywiście w ciasnych jego pojęciach rozwidniać się zaczynało.

— Wie pani! — rzekł raz do Janiny z takim wyrazem jakby co najmniej Amerykę odkrył, — wie pani, że ja okropnie byłem głupi!... Ja chciałem żeby pani była moją żoną... a jakże to być może, kiedy pani taka mądra! co by pani ze mną robiła!...

Ostatnia ta uwaga ubawiła Janinę w ogóle, naiwne nieraz zdania Juliusza miały te własność, że odrywały jej umysł od trapiących myśli...

## XVI.

Piękny dzień wrześnieowy miał się ku końcowi, słońce kryło się po za wysokie drzewa parku w Wasilcach, rzucając z pomiędzy gałęzi długie ukośne promienie, które kładły się na trawniku przed tarasem, na którym siedział książę z Romanem.

Gwarzyli swobodnie pałac papierosy; patrzyli na piękne barwy jesieni roztańczające się w okóło nich w oświetleniu, liściach drzew i kwiatów.

— Ha, tak! — westchnął Bruno. — Nie długo już zagoszczę między wami! Inny świat, inni ludzie przesuwają się będą przed moimi oczami, inne myśli napłyną do głowy.

— Szczęśliwy człowieku! co za rozmaitość wrażeń ciebie czeka.

— Szczęśliwy!... wyraz czysto osobisty. Gdybym ciebie posłał na swoim miejscu do antypodów, wątpię czy w obecnej chwili uważałbyś się za szczęśliwego.

— Zapewne! — potwierdził Roman poważnie. — Mojem szczęściem dzisiaj jest wiara

w bezinteresowne, nieskazitelne uczucie, ufność niezachwiana w istotę oddaną mi sercem całym...

— Takiego szczęścia pozazdrościć można! — rzekł książę, — tembardziej, że rzadko się ono dziś w świecie spotyka. Potężne, nieokiełznane rozumem namiętności, prowadzą dziś często ludzi na bezdroża. Brak celu, brak wiary, brak i wytrwałości... smutnie kończy się nasze stulecie!

— Cóż chcesz, mój drogi! za jakich parę tysięcy lat znajdzie się taki szperacz starożytności, jakim ty jesteś i będzie *con amore* badał zwyczaje i obyczaje XIX-go stulecia! — zawołał Roman.

— Być może, — rzekł książę z uśmiechem. — Wątpię jednak czy będzie mocno zbudowany swojemi odkryciami.

— Kto wie? zawsze to co przeszło i minęło lepszymi jest od terażniejszości.

— Tylko nie prostota! a co mnie najbardziej pociąga u pierwszych ludów, to właśnie prostota. Nie możemy się chwalić żebyśmy nią dziś grzeszyli.

— Masz słusność; w prostocie jest mądrość najwyższa, a my dziś uchylamy się od niej, w niedorzecznej obawie żeby nas za głupców nie wzięto... Jedno tylko dodam...

W tej chwili szmer jakiś usłyszano w przyległym do werandy pokoju i nagle we drzwiach stanął wcale niespodziewany gość, pan Juliusz.

Roman powstał, zdziwiony tą nieoczekiwaną wizytą, ale gdy spojrzął, uderzyła go dziwna zmiana, jaką dostrzegł na twarzy przybyłego. Był bladym — ale bladymi bywają ludzie często i nikogo to nie dziwi; co zastanowiło Romana, to niezwykły wyraz oczu młodzieńca, w których zamiast zwykłej beznamiętnej apatii przebiegał rodzaj inteligencji. Śmiało, z odwagą rozpaczy przystąpił do Romana i głosem zdławionym od wzruszenia rzekł niewyraźnie:

— Niech pan zaraz jedzie... założyć tylko świeże konie do mojego powozu... kazałem walić batem aby prędzej!

— Co to znaczy? — zawołał Roman przerażony a książę zbliżył się także zaniepokojony.

— Co się stało? — dodał.

— Panna Janina potrzebuje pana!...

— Co! chora może? — krzyknął Roman.

— Ale nie! zdrowa, tylko płacze... słyszałem jak płacze... Pan jej nie da płakać, prawda, panie?

Roman schwycił się za głowę.

— Stało się jakieś nieszczęście... — szepnął. — Proszę cię, Brunonie... Muszę jechać w tej chwili, a sam nie wiem czego się mam spodziewać!... Idę kazać konie założyć... uprzedzić ojca... a ty go wybadaj tymczasem.

— Uspokój się! — mówił książę idąc za nim do drzwi. — Biedak sam nie wie co mówi, przesadza naturalnie...

— Wybadaj go! — dodał Roman i już zniknął za drzwiami.

Książę spełnił prośbę przyjaciela i rozpoczął wypytywać Juliusza.

Pokazało się, że ten ostatni nie wiele mógł go objaśnić. Nocował dziś w Żarnkach, co mu się często zdarzało i rano, nim jeszcze wyszedł ze swego pokoju słyszał groźny głos pani Żarnowieckiej a płacz Janiny, „aż serce się krajało.” Pomyślał sobie wtedy, że krzywdę jej robią i że na to innej rady niema, tylko powiedzieć Romanowi żeby ją zabrał do Wasilec... Wydawało się to biedakowi zupełnie naturalnym... a książę aż uśmiechnął się musiał z naiwności tego pomysłu.

— Nie stało się żadne nieszczęście, jak się tego obawiałeś, — rzekł do Romana, gdy ten wrócił, z gorączkowym pośpiechem ubrany już do drogi. — Mówiłem, że to przesada, zbytek gorliwości dobrego, ale mało inteligentnego chłopca... Słyszał pannę Janinę płaczącą... i oszalał.

— Ona nie powinna płakać! — rzucił przez zaciśnięte zęby Roman z ponurem wejrzeniem.

— To znowu co innego! Ale w każdym razie unosić ci się nie radzę.

— Książę ma słusność, — odezwał się głos pana Bronimirskiego, który przytoczył się tutaj z krzesłem. — Moja kuzynka, o ile się przekonałem, nigdy nie żywiła czułych uczuć dla biednej

swjej wychowanki... Może wypadnie ślub przyspieszyć... ale pamiętaj Romku — nie unos się, bądź grzeczny, bo porywczosć nigdy nikomu na dobre nie wyszła. Ale powiedzcie mi, co właściwie zaszło?

Juliusz chciał znowu rozpocząć opowiadanie, ale Roman mu przerwał, żegnając się z ojcem i księciem.

— Brunon ojcę opowie, — rzekł — ja jechać muszę. A pan, czy zostaje?

— Ja? — zawołał przerażony Juliusz. — Jakże ja mogę?... Boże! jak Aleksander się dowie, żem mu tak konie zhasał!... — dodał z nagłą rozpaczą.

— Bądź pan spokojny. Konie wypoczną i wrócą już do Żarnek. Pański szwagier nie dowie się nawet, że one do Wasilec chodziły.

— Doprawdy? nie dowie się! Ach! jakiś pan dobry!...

Ujął rękę Romana i potrząsnął nią silnie a oczy mu zaszły mgłą rozczulenia.

— Dziwny chłopak! — rzekł książę do pana Bronimirskiego, gdy tamci odjechali, — dobre serce... szkoda, że taki głupi!

— Głupi ci, co nie wykorzystali zalet tego serca i nierozsądnem wychowaniem przytłumiali inteligencję, zamiast ją rozwijać za pomocą łagodnego postępowania...

Czwórka rączych koni Romana wczesnym rankiem dowiozła ich do Żarnek.

Wszyscy w domu jeszcze spali; służba tylko już wstała. Roman, w przewidywaniu tego wypadku nie kazał zajeżdzać przed ganek, tylko wysiadł wraz z Juliuszem przed bramą i pieszo podążył do pałacu. Starego Łukasza, który wyszedł na ich spotkanie, zapytał wprost o Janinę... Czekala go okrutna niespodzianka...

— Panienska zdrowa... — odrzekł z pewnym zakłopotaniem stary sługa — ale już od wczoraj jest u panny Olimpi.

Roman nie pytał o więcej. Głosem, który usiłował być spokojnym, poradził Juliuszowi, żeby poszedł się położyć spać, a sam skierował się w dalsze ulice parku.

Chodził ze spuszczoną głową, bez wytchnienia, starając się opanować wzburzenie, zebrać myśli. Minęło sporo czasu: Roman spojrzął na zegarek. Była już blisko ósma. Usiadł na ławce i zagłębił ręce we włosy, odrzucając kapelusza.

Ma się widzieć z Janiną, musi się z nią widzieć! z Janiną, swoją narzeczoną, którą jego ciotka wygrzyła ze swego domu... Ze tak było, nie wątpił ani chwili! Jakiem czołem stanie przed nią? jak potrafi usprawiedliwić ciotkę?

Ale czy naprawdę pani Żarnowiecka temu winna?... Do takiej zaciętości żeby postępowaniem swoim zmusić kogoś, aby opuścił dom, gdzie się wychował, dom prawie własny — bo biedna sierota innego nie miała, — trzeba było ważnych pobudek, których hrabina przecie nie miała! Janina — znała ją dobrze — nie mogła nic takiego uczynić, coby zasłużyło na podobne postępowanie; hrabina zaś, była przykra, gderliwa, samolubna, rozgoryczona wskutek zawiedzionych nadziei, ale wszystko to nie wystarczało na wytłumaczenie podobnego postępowania... Powód był inny i Roman wiedział komu ma za wdzięczyć cierpienie, które mu serce targało w tej chwili... Była to robota zazdrosnej i mściwej kobiety obrażonej w swojej miłości własnej. Teraz, przypominał sobie Roman rozmaite szczegóły, na które żadnej uwagi nie zwracał w swoim czasie. Przypominał sobie słodką zalotność, niedopowiedane słowa, nagle zmiany humoru pani Natalii, jej uszczypliwość względem Janiny i szept z hrabiną...

— Zraziłem ją moją oziębłością... — myślał zalużąc po niewczasie, że nie grał lepiej komedii. Kobieta zawiedziona w swoich rachubach, w miłości własnej, gotową bywa na wszystko... I pomyśleć! — dodał półgłosem, powstając szybkim ruchem z ławki, jakby podrzucony obcą siłą — pomyśleć, że o mało nie nazwałem jej moją żoną!...

Wstrząsnął się i chcąc dać inny obrót myślom, spojrzął znowu na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

Powoli, ociągając się, skierował się ku szkolnemu domkowi. Dziwna, niewytłomaczona obawa nim miotła; czuł się onieśmielony, jak dziecko.

— Biedactwo moje ukochane! czy będę kiedy wstanie nagrodzić ci to wszystko co znosisz dla mnie i przezemnie?—myślał rozrzucony.

Po raz pierwszy od chwili gdy ta awantura spadła na niego, myśli jego zwróciły się na osobiste losy; dotychczas zajęty był jedynie rozpa miętywaniami krzywdy jaka się stała sierocie, wynajdywaniem przyczyn i sposobów aby sprawiedliwości stało się zadość. Teraz, gdy już się czuł bliskim jej obecności, serce mu wezbrało miłością bez granic... Widział ją smutną, we łzach, wyciągającą ręce do niego, jako do jedynej swojej podpory i obrony... czytał w tych smutnych oczach morze uczucia, ufności... Ochl jakimże potężnym uściskiem przygarnie tę drogą istotę do swej męskiej piersi, gdy mu już narzeczcie będzie wolno nazwać ją swoją!

(Dalszy ciąg nastąpi),

## RUCH MUZYCZNY.

Pod szczęśliwą znać gwiazdą rozpoczęty letni sezon muzyczny nie pozwala publiczności warszawskiej uskarżać się na brak rozrywek. Trzy teatru, hołdujące muzie śpiewu, zapowiedzi licznych gościnnych występów nieznanych u nas śpiewaków i śpiewaczek zaostrzają ciekawość znanej z zamiłowania do muzyki Warszawy.

W Teatrze Wielkim gości zawsze sympatycznie u nas widziany i wspomniany Aleksander Myszuga i nieznany dotąd w Warszawie śpiewak opery lwowskiej p. Józef Szymański, a nadto zapowiedziane są gościnne występy nieznanych nam również artystek opery lwowskiej pań Eugenii Strassenówny i Janiny Korolewiczówny. Teatr Mały daje premierę operetkową, mając niebezpiecznego współzawodnika w świeżo do Warszawy przybyłej trupie operetkowej lwowskiej, która zapoznaje nas nadto z życzliwie zagranicą przyjeżdżającą, a u nas zgola nieznana premierą operową. Jak na początek sezonu, to horoskopy bardzo pomyslnie, które nie zawiodą prawdopodobnie nadziei przykutych w porze letniej do bruku miejskiego mieszkańców Warszawy.

Na pierwszy występ wybrał sobie p. Myszuga rolę Alfreda w Verdiowskiej Traviacie. Znako mity tenor zbyt dobrze zapisał się w pamięci publiczności warszawskiej, zanadto mu na jej uznaniu zależało, ażeby przy tym pierwszym, po kilkoletniej rozłące występie nie doznał pewnego wzruszenia, które, rzecz prosta, odbić się musiało na traktowaniu partyi. Nieodłączna w takich razach trema nie pozwoliła śpiewakowi rozwinąć całych skarbów melodyjnego swego głosu. To też brzmiał on nieśmiało, całe traktowanie partyi robiło na słuchaczach wrażenie, jakby się śpiewak „oszczędzał“.

A szkoda, bo p. Myszuga zalicza partyę Alfreda do najlepszych w bogatym swoim repertuarze.

Dopiero w nieśmiertelnej Halce zajaśniał p. Myszuga całym blaskiem czarującego swego głosu. Partyta Jontka nateży do tych, które śpiewak ponad wszystkie inne umiłował, w którą wlewa cały zasób szlachetnego swego uczucia. Jontek jego nie śpiewa, lecz płacze nad smutnym losem uwiedzionej dziewczyny, w głosie jego brzmi taka nuta szczerego liryzmu, że mimowoli porwya słuchacza i zapomnieć mu każe, że to złuda, a nie rzeczywistość. P. Myszuga nie ucieka się do sztucznych środków technicznych, którymi w tak wysokim stopniu rozporządza, lecz śpiewa z taką prostotą, jak śpiewać musi prawdziwy Jontek z krwi i kości, wyśpiewujący w żalu swym za utraconą dziewczyną duszę całą.

Przemowa do panicza, w której śpiewak podkreśla w sposób niedościgniony wyrazy „o dobry panie,“ imponowała wyrazem szlachetnego bólu.

Punktem kulminacyjnym jednak artyzmu była arija „Szumią jodły,“ w której śpiewak zawarł wszystko, cokolwiek tylko da się pomyśleć. Metaliczność głosu szła tu o lepsze z tkliwością uczucia, w każdym słowie, wychodzącem z ust śpiewaka brzmiał taki bezmierny smutek, taka rozpacz niewypowiedziana, że oczy słuchaczy mimowoli lza zachodziły. I p. Myszuga może się śmiało pochlubić, że w wykonaniu arii tej niema współzawodnika.

Halką była p. Olghina-Józefowicz, która w interpretacji partyi tej dosięga wyżyn prawdziwego artyzmu.

Tak szlachetnie w głównych partyjach wykonanej nieśmiertelnej kreacji Moniuszkowskiej publiczność warszawska dawno już nie pamięta. Był to hołd uznania złożony w 25-letnią rocznicę zgonu kompozytora.

I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie jedna okoliczność, której reżyserja opery, pomimo ciągłych nawoływań ze strony prasy i publiczności nie chce niestety uwzględnić. Mówimy tu o strojach tancerek, w których się babki nasze nigdy chyba nie pokazywały publicznie.

Pana Szymańskiego mieliśmy sposobność poznać jako Alfonsa księcia Kastylii w „Faworycie.“ Młody śpiewak miał zadanie bardzo trudne, w partyi tej bowiem Battistini tak niedawno czarował słuchaczy. Mimo to jednak potrafił p. Szymański zjednać sobie uznanie publiczności. Poznaliśmy w nim śpiewaka o pięknym i dźwięcznym barytonowym głosie, obdarzonego wielkim zasobem inteligencji muzycznej, umiejętnością frazowania i pewną biegłością techniczną. Głos jego nie zbyt może silny i pełny w wyższej skali, w rejestrze dolnym brzmi bardzo szlachetnie, a umiejętne używanie mezza-voce podnosi jeszcze wrażenie, jakie artysta śpiewem swym wywiera.

To samo da się powiedzieć i o drugim występie p. Szymańskiego w roli Walentego w Gounodowskim Faucie, w której śpiewak, zwłaszcza w scenie konania, zdobyć się zdołał na silny akcent dramatyczny. Mniej udatną tak pod względem aktorskim jak i muzycznym była partyta Eskamilla w Carmenie.

Goszcząca w gmachu cyrkowym na Ordynackim lwowska trupa operetkowa dała nam poznać kompozycję młodego muzyka niemieckiego.

„Jaś i Małgosia“, opera w 3 aktach do słów Adelajdy Wette z muzyką Engelberta Humperdincka obiegła przed kilku laty wszystkie niemal sceny zagraniczne, przynosząc autorowi zasłużony rozgłos.

Humperdinck urodzony w r. 1854 kształcił się początkowo na budowniczego, wkrótce jednak porzucił ten zawód i oddał się muzyce. Gorący wielbiciel Wagnera, któremu pomagał nawet przy wystawieniu Parsifala w Bayreuth, tworzył Humperdinck dosyć, pomimo jednak nagród, jakie otrzymywał za swoje kompozycje, bardzo mało znanym był szerszej publiczności i dopiero opera „Hänsel i Gretel“ wyprowadziła nazwisko jego na szerszą arenę i to dzięki tylko przypadkowi. Siostra kompozytora, pełniąc obowiązki kierowniczkę pensji dla dziewcząt uprosiła brata, ażeby do libretta zaczerpniętego z zbioru klechd ludowych dorobił muzykę przystępną do wykonania przez siły młodociane. Opera przedstawiona przez uczennice podobała się powszechnie, a kompozytor, ulegając namowom przyjaciół zdecydował się zaprezentować ją na deskach teatralnych.

Publiczność niemiecka przyjęła pierwszy utwór skromnego kompozytora z zapalem, stawiając go w rzędzie najlepszych oper ostatniej doby.

Treść opery jest następująca.

Akt pierwszy przedstawia mieszkanie ubogiego miotlarza. Dzieci jego zajęte są pracą; Jaś struże pręty do miotel, Małgosia robi pończoszki. Biedne dzieci mają niedobrą matkę, to też cierpią głód, co nie przeszkadza im jednak, jak zwykle dzieciom, śpiewać wesołych piosnek,

śmiać się i tańczyć. Wesołość ich przerywa wejście matki,—która zagniewana, że dzieci nie wykonały powierzzonej sobie roboty, wypędza je do lasu i nie pozwala wrócić prędzej, aż nazbierają pełny kosz poziomek. Dzieci wybiegają, a za sceną rozlega się wesoła piosnka powracającego z jarmarku z zapasami jedzenia miotlarza Piotra. Dowiedziawszy się o przyczynie nieobecności dzieci, wpada w gniew, że matka mogła je puścić same do lasu, w którym czarownica ma chatkę z pierników, wabi do niej zbłąkane dzieci i upieczone w piecu zjada. Zrozpaczona matka wybiega z mężem szukać zagrożonych niebezpieczeństwem dzieci.

Najpiękniejsze ustepty muzyczne w akcie tym stanowi śpiewana przez Jasia i Małgosię piosnka o gaskach, dźwięcząca naiwną, dziecięcą nutą i charakteryzująca postacie dwojga młodocianych bohaterów opery. Wielką oryginalnością odznacza się pieśń miotlarza o charakterze ludowym z podkładem rzewnego smutku.

W akcie drugim widzimy dzieci w lesie. Jaś zbiera poziomki, Małgosia zajęta jest splataniem wianka z kwiatów leśnych. Samotność i głód nie odbierają im humoru; usłyszawszy głos kukulki, rozweselone dzieci odpowiadają naśladując kukanie ptaka. Obawa przed matką nie pozwala im wracać do domu z próżnymi rękami; poziomki zjedzone, a nowych nazbierać nie można, bo już noc. Wystraszone odgłosami leśnymi, kłękają do modlitwy wieczornej, poczem usypiają pod zaklęciami Ducha snu, który sypie piasek na nie. W tej chwili widać w głębi sceny stopnie wiodące ku niebu, po których zstępują aniołowie i skrzydłami swemi osłaniają śpiące dzieci.

Pod względem muzycznym akt ten jest najbardziej interesującym. Bardzo oryginalnie pomysłana jest pieśń dwojga dzieci z kukulką, a modlitwa końcowa na dwa głosy stanowi istną perelkę muzyczną.

Akt trzeci. Jaś i Małgosia śpią jeszcze. W głębi sceny widać ową piernikową chatę czarownicy, o której opowiadał miotlarz. Robi się dzień... dzieci budzą się i opowiadają sobie wzajemnie sny o Aniołkach, które nawiedziły ich w nocy. Ujrawszy chatkę piernikową, dają się uwieść łakomstwu i zaczynają zjadać przysmaki. W tej chwili zjawia się czarownica i nęci je obietnicą łakoci do swej chatki. Małgosia otrzymuje od wiedźmy polecenie, ażeby zaglądnęła do pieca i przekonała się, czy ciasto rośnie, ta jednak pomna na bajkę prosi ją, ażeby jej pierw pokazała sama, jak ma wykonać polecenie. Czarownica nie podejrzewa podstęp, wsadza więc głowę do pieca, a z chwili tej korzystają dzieci, zamykają drzwi i na hak i pieką czarownicę. Używszy wiadomego zaklęcia oswabadzają inne dzieci, zamienione wół czarownicy w pierniczki. Na chwilę tę nadchodzi rodzice i uradowani tulą dzieci do piersi.

Muzyka aktu tego skupia się z natury rzeczy na akompaniamencie orkiestrowym, który zwłaszcza podczas śpiewu czarownicy obfituje w momenta bardzo interesujące, odznaczające się bogactwem efektów harmonicznym.

W ogóle muzyka Humperdincka nosi na sobie cechę oryginalności i wdzięku.

Wykonanie opery nie pozostawiało nic do życzenia.

W rzędzie wykonawców na pierwszym miejscu postawić należy pannę Bohussównę, która w roli Jasia wykazała bardzo wiele zalet tak pod względem artystycznym, jak i gry aktorskiej. Silny i metaliczny głos jej brzmiał szlachetnie i chwilami zwłaszcza w modlitwie aktu drugiego porwya słuchaczy. Partyę Małgosi, największą w operze, śpiewała panna Kliszewska. Artystka, aczkolwiek posiada głos niezbyt silny, potrafiła jednak przez umiejętne używanie go, wykonać partyę swą bez zarzutu. Jedynym przedstawicielem płci brzydkiej w operze był p. Bogucki obdarzony silnym i dźwięcznym głosem barytonowym. Partyę miotlarza Piotra odśpiewał artysta z miarą artystyczną i z wielką dozą uczucia. Pani Kasprowiczowa miała w roli czarownicy chwile bardzo szczęśliwe. Matką była pani Skalska.

Orkiestra wywiązała się z zadania swego bardzo dobrze, co chlubnie świadczy o energii dyrektora jej p. Henryka Jareckiego.

Dodać winniśmy, że w operze niema wcale chórów męzkich.

Wystawa była bardzo ładna i całość robiła w ogóle bardzo dodatnie wrażenie.

Trupa lwowska przygotowuje kilka oryginalnych oper, między temi operę p. t. „Zaczarowane jezioro“ z muzyką p. Tadeusza Joteyki do słów p. Gutowskiego.

Lutniści warszawscy w liczbie 68 pod wodzą wice-dyrektora swego p. Rzepko odwiedzili w Zielone święta Kalisz, gdzie odbył się zbiorowy koncert, w którym prócz Lutni warszawskiej wzięła udział także Lutnia Łódzka, Towarzystwo śpiewacze Radomskie i Towarzystwo muzyczne Wieluńskie. Na program utworów wykonanych przez Lutnię warszawską złożyły się: „Znaszli ten kraj“ Moniuszki, „Zaszumił las“ Niewiadomskiego, i „Konik polny i mrówka“ Gounoda. Nadto wykonali lutniści nasi wspólnie z innemi towarzyszami na rozpoczęcie koncertu „Kto się w opiekę“ i „Polonez“ Maszyńskiego, a na zakończenie „Noc majową“ i „Zażegnanie burzy“ Dörera. W koncercie tym w charakterze solisty przyjął udział p. Tołwiński.

Czarodzieja z nad Nilu, wyborną operetkę z muzyką Herberta mieliśmy sposobność poznać z dwóch naraz scen. Pierwszy wystawił ją Teatr Mały, a nazajutrz usłyszeliśmy ją z desek teatru na Ordynackiem. Operetka ta nie cieszyła się u nas takim powodzeniem, jakie towarzyszyło jej na wszystkich scenach zagranicznych. Być może, że winą tego była konkurencja, a może i muzyka i treść libretta. Tak czy owak nowa operetka zesłała prędko z repertuaru i dziś dawana być może tylko od czasu do czasu dla zapełnienia luki lub nagłej niedyspozycji któregoś z artystów.

Treść operetki jest dość oryginalna, aczkolwiek nie wyzyskuje w zupełności komicznych sytuacji tematu.

Ptolomeusz XIII, Faraon, rozpacza nad nie szczęściem poddanych swego państwa, spowodowanem długo trwającą suszą. Na nic się nie przydaje wyrok śmierci wydany na wróżbitę Cheopsa, Nil ani myśli wylać. W chwili gdy już straszne widmo głodu groziło biednym mieszkańcom, zjawia się magik europejski Kibaczki. Skazany za użycie łodzi Kleopatry na śmierć, umie ugłaskać gniew Faraona obietnicą sprowadzenia wylewu Nilu. Pomaga mu w tem naturalny zbieg rzeczy, bo Nil pod wpływem zaklęć magicznych wylewa rzeczywiście, a Kibaczki otrzymuje w nagrodę za cud swój rękę córki faraona Kleopatry. Kapryśny jednak Nil płata figla czarodziejowi, bo zamiast zadowolić się skromnym wylewem, sprowadza istną powódź na całe państwo.

Kibaczkiego czeka znowu kara śmierci, od której jednak i tym razem zdołał się wykreścić, a powtórne przyrzeczenie ręki Kleopatry uwieńcza szczęśliwe opadnięcie wód Nilu. Okazuje się jednak, że czarodziej jest już żonatym, a za to przestępstwem czeka go zamurowanie żywcem w podziemiach piramidy. W oprawy mumiowe znajdujące się w podziemiach wchodzi młodzież egipska i płata rozmaite figle Kibaczkiemu. Przed zamurowaniem odwiedza go faraon i przez nieostrożność zamurowanym zostaje wraz z nim. Prerażony widmem głodowej śmierci przyrzeka wolność czarodziejowi, byleby go tylko uwolnił chociaż z przykrego położenia, co też ten czyni.

Oto jest treść libretta, zamknięta w ramach trzech aktów.

Jako stronę dodatnią nowej kompozycji angielskiej zaznaczyć należy melodyjność wszystkich niemal numerów. Zaleta ta występuje zwłaszcza w pięknej „Marzeniu“ Kleopatry i jej nauczyciela muzyki Ptermegana.

W Teatrze Małym śpiewała partję pięknej Kleopatry panna Kawecka, nie zdołała jednak w zupełności sprostać trudnemu zadaniu. Czarodziejem pełnym humoru był p. Gasiński, wybornym Ptolomeuszem p. Morozowicz. Partję Ptermogana odśpiewał poprawnie p. Proniewicz.

Teatr lwowski w wykonaniu „Czarodzieja z nad Nilu“ położył główny nacisk na część muzyczną operetki. Pomogła temu zadaniu wyborna orkiestra, prowadzona wprawną ręką dyrektora opery p. Henryka Jareckiego.

Panna Bohussówna wlała w partję Kleopatry tyle szczerego uczucia, a śpiewała ją tak pięknie, że trudno sobie wyobrazić lepszą interpretatorkę. Kibaczkiego grał z humorem p. Myszkowski, nagradzając brak głosu zręcznym *parlando*. Ptermogana śpiewał p. Jaroński, obdarzony ładnym i dźwięcznym głosem tenorowym. Wystawa operetki w obu teatrach nie pozostawiała nic do życzenia.

Z desek Teatru Małego przypomniła się publiczności warszawskiej dobrze jej znajoma p. Adolfinia Zimajerowa, która występami swojemi w „Nitouche“ i „Biednej dziewczynie“ dowiodła znowu, że posiada nigdy nie słabnący talent i inteligencją muzyczną.

Świat muzyczny poniósł ciężką stratę przez śmierć s. p. Karola Mikulego, długo letniego dyrektora galicyjskiego Towarzystwa muzycznego we Lwowie. Urodzony w r. 1821 w Czerniowcach żył jeszcze w owych czasach, kiedy kult sztuki nie był tak powszechnym, jak dzisiaj, kiedy talent prawdziwy spotkać się mógł z zasłużonym uznaniem.

S. p. Mikuli należał zawsze do najgorliwszych i najwytrwalszych pracowników na niwie muzycznej. Powróciwszy z Paryża w r. 1858 osiadł na stałe we Lwowie, poświęcając się z całym zapalem wykształceniu młodego pokolenia. Do Paryża udał się nie tyle dla otrzymania stopnia naukowego, jak raczej dla wpisania się w szeregi uczniów Chopina, dla którego do ostatnich lat życia zachował kult nadzwyczajny.

Powołany na stanowisko dyrektora galicyjskiego Towarzystwa muzycznego, pozostawał na niem do r. 1885, w którym to czasie powierzono mu dyrekcję konserwatorium, a na dyrygenta koncertów powołano Jana Galla.

Do ostatnich niemal lat życia skierowywał usiłowania swe ku rozwojowi muzyki polskiej, która traci w nim nieustrudzonego pracownika.

Adam Dobrowolski.

## Z AMERYKI.

New-York, 10 czerwca.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy na całym świecie, a więc i na naszej półkuli dziwne panowały zapatrywania na kwestję oświaty jaknajszerszych warstw społeczeństwa. Dziś stosunki zmieniły się wszędzie na lepsze, a prym pod tym względem trzymają Stany Zjednoczone. Nigdzie sprawa oświaty nie postąpiła tak szybkim krokiem naprzód, nigdzie rząd nie łoży tak olbrzymich kosztów na szerzenie światła nauki jak tu.

Amerikanie pojmują znaczenie wyrazu „nauka“ w sposób zupełnie odrębny. U nich ta tylko nauka uważana jest za racjonalną i praktyczną, która korzystać może z opieki państwa i której rezultaty zapewnić mogą korzyści dobrobytowi narodowemu. Znakomity geolog Marche nie dlatego jest wielkim w oczach Amerykanina, że odkrył cały szereg nieznanych dotąd, a pożytecznych skarbów ziemi, lecz dlatego, że z powodzeniem pracuje na polu geologii i antropologii, nauk bardzo ważnych pod względem praktycznym. Marek Twain również nie dlatego używa takiej sławy, że prace jego czytane są przez cały świat, lecz że prace te dają mu olbrzymie dochody.

Amerikanie przyzwyczajeni są mierzyc wszystko łokciem praktyczności. Ztąd też pochodzi, że Ameryka bardzo mało oddaje się nau-

kom ścisłym i jeżeli, zwłaszcza w ostatnich czasach, zwiększył się nieco ruch na tem polu, to są to przeważnie prace towarzystw naukowych, które rozporządzają specjalnemi na ten cel funduszami.

Obecnie poruszoną została w północno-amerykańskich Stanach Zjednoczonych myśl utworzenia nowego ministerium, albo jak Amerykanie nazywają swoje ministeria—nowego „narodowego departamentu nauk“—*National departement of science*.

Projekt ten poruszył słynny uczony amerykański Debney w wydawanym w New-Yorku miesięczniku *Science*. Północno-amerykańskie Stany Zjednoczone rozporządzają, według jego obliczenia, 5,225 urzędnikami, poświęcającymi się opracowywaniu kwestji naukowo-praktycznych. Liczba ta byłaby zupełnie wystarczającą, gdyby nie ta okoliczność, że urzędnicy ci podzieleni są bardzo niewłaściwie w rozmaitych gałęziach administracji państwowej. Wszystkie niemal ministeria mają specjalne oddziały naukowe, których zadanie polega na badaniu naukowo-praktycznej strony danej gałęzi administracji. Nic więc dziwnego, że przy takim rozstrzeleniu usiłowań prace pojedynczych oddziałów nie mogą dać tych rezultatów, jakichby się słusznie od nich spodziewać należało.

Anormalnym tym stosunkom zaradzić ma projektowane utworzenie nowego departamentu nauk, któryby zogniskował w sobie wszystkie te prace i usiłowania, i któryby usunął trudności, z jakimi dotąd napróżno walczyły pojedyncze oddziały naukowe.

Że projekt praktyczny, to nie ulega kwestji, jak również to, że go yankeesi ze znaną swoją wytrwałością przeprowadzić zdołają w jaknajkrótszym czasie.

Od spraw poważniejszych przejdźmy do codziennych, charakteryzujących tak dosadnie oryginalność naszego życia społecznego i towarzyskiego.

Istną plagą naszych instytucji sądowych są rozpowszechnione w ostatnich latach małżeństwa między mało letniemi. W sąsiadującym z nami Brooklynie, który od Nowego roku stanowić ma część New-Yorku zdarzył się np. następujący ciekawy wypadek. Pewien 16 letni młodzieniec z przedmieścia Canarsie wniósł do sędziego miejscowego skargę na teściową i ojca jej za to, że pozwolili sobie wymierzyć mu karę cielesną. Ze łzami w oczach opowiadał młody małżonek, że 14 letnia jego żona ma nieładny zwyczaj przebierania się w suknie męskie i bawienia w tym kostyumie gawiedzi ulicznej wyuzdanemi tańcami. Nie nie pomogły protesty z jego strony, a nadto nieposłuszna małżonka przywołała na pomoc matkę swą i dziadka i namacalnie dali mu do zrozumienia, że niema prawa wzbraniać żonie swej tej niewinnej rozrywki. Żona z swej strony oświadczyła, że nie widzi w postępowaniu swem nic niewłaściwego, zwłaszcza, że jest jeszcze tak młodą i chodzi do szkoły. Tłomaczenie to wzruszyło do tego stopnia małżonka, że skargę swą cofnął.

Zaledwie się drzwi za tą młodocianą parą zamknęły, gdy przed sędzią stanęła 13-letnia piękność z Canarsie domagając się rozkazu aresztowania 18 letniego swego małżonka, który nie chce pracować na jej utrzymanie. Otrzymawszy żądany dokument odeszła zadowolona.

Niemniej jaskrawe światło na panujące u nas stosunki małżeńskie rzuca ogłoszenie małżeńskie, umieszczone przed niedawnym czasem we wszystkich niemal pismach miejscowych. Powodem od ogłoszenia tego była następująca romantyczna historia: Niejaki H. Andrews, urzędnik miejski rozwiódł się niedawno z młodą swą małżonką, która pozwoliła sobie zdradzić go z jakimś Thompsonem, gołowąsym jeszcze młodzieńcem.

Wyrok rozwodowy zabraniał winnej małżonce wchodzenia w powtórne związki małżeńskie. Rozwiedziona jednak pani Andrews udaje się z Thompsonem do stanu New-Jersey, gdzie oboje łączą się prawnym związkiem małżeńskim, poczem zamieszkują znowu w sąsiedztwie zdradzonego Andrews. Wszystko to przynosi na-

turalnie wstyd i hańbę prawom i ustawom, sądy są jednak wobec tego bezsilne; prawomocny ich wyrok zdeptyany zostaje nie w New-Yorku wprawdzie, ale w Stanie New-Jersey, a tak daleko nie sięga ramię naszej sprawiedliwości. Powie ktoś, że winni znajdują się obecnie pod jurysdykcją sądów New-Yorkskich. Niewątpliwie, sądy te jednak ścigać ich nie mogą, boć przecie nie w New-Yorku zawinili przeciw wyrokowi sędziego. Smutne to wszystko bardzo, tem smutniejsze, jeżeli się zważy, że rząd ani myśli o koniecznej reformie prawa małżeńskiego.

Nie tylko jednak skargi rozwodowe przysparzają sądom tutejszym wiele trudu i kłopotu; nierównie częstsze są skargi o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeńskiego.

W ostatnim tygodniu miałem przed sobą dwóch bardzo interesujących, którzymi sędzia motywował

Małżeństwo w St. I. na żądanie 24-letniej Antoniny Benedikt, a następnie skazany na zapłacenie kary w wysokości 6 centimów. Wyznaczenie kary tej było czczą formalnością tylko, ażeby uniemożliwić skazanemu wniesienie skargi z powodu bezprawnego aresztowania. Po wydaniu wyroku miał sędzia następującą przemowę do oskarżycielki: „W czasie obecnej kadencji sądowej codzień przynajmniej miałem wypadek podobny do osądzenia. Jestem zdumiony tem, że młode i piękne dziewczęta uwodzą i zmuszają do małżeństwa niedorostków, którzy nawet siebie samych utrzymać jeszcze nie są w stanie. Do takich związków małżeńskich przymuszać nie wolno i byłoby do życzenia, ażeby pragnące wyjść za mąż dziewczęta, z afektami swemi zwracali się do mężczyzn, a nie do młokosów. Jak długo postępować będą inaczej, tak długo tu przynajmniej, w sądzie na żadną opiekę liczyć nie mogą.“

Czy mądre słowa te wywrą jakie wrażenie na kandydatki do stanu małżeńskiego i czy zmuszą je do zmiany taktyki w szukaniu małżonków?... Wątpimy bardzo. Wymuszone małżeństwa i bezpodstawne skargi rozwodowe istnieć będą i nadal, dopóki prawodawstwo nie wprowadzi w końcu w życie przepisów, ochraniających młodzież naszą przed pościgiem żądnych stanu małżeńskiego przedstawicieli płci pięknej. Do tej chwili jednak dużo jeszcze wody potoczy Hudson do morza.

Kwestya kapelusza w teatrach, która u nas tyle narobiła wrzawy, u nas daje również powód do zaciętej walki i do publikowania coraz to nowych rozporządzeń. Tak np. istnieje w Stanie Michigan prawo, na mocy którego każda właścicielka piękno kapelusza, zasłaniająca nim siedzącemu poza sobą w teatrze widzowi widok na scenę, ulega karze pieniężnej, która natychmiast bywa ściągana. Przeciwnicy kapeluszy damskich w teatrach odnieśli w Stanie Connecticut po raz drugi wielkie zwycięstwo. Burmistrz w Bridgeport powierzył pewnej pani z towarzystwa obowiązki „inspektorki kapeluszy damskich w teatrach.“ Dama ta nazwiskiem M-rs Watson obowiązana jest zwiedzać codzień wszystkie teatry i wzywać każdą panią, ubraną w monstrualny kapelusz do natychmiastowego zdjęcia go. Nazwiska nieposłusznych wezwaniu podawane zostają do wiadomości wszystkich dyrektorów teatralnych, którzy się solidarnie zobowiązali nie sprzedawać im miejsc.

I. D.

## Kronika działalności kobiecej.

— Z 26 kandydatek uczęszczających na nauczyielski kurs gimnastyki w lwowskim towarzystwie gimnastycznym, od 15 lutego 1896 roku, stanęło do egzaminu 8, które wszystkie uzyskały kwalifikacye do samodzielnego udzielania gimnastyki. Egzamin składał się z 4 części: a) z lekcji praktyczno-metodycznej, tak z ćwiczeń wolnych, jak i zastępczych, przeprowadzonych w ciągu maja b. r. z uczennicami Towarzystwa, celem wykazania uzdolnienia pedagogicznego; b) z wypracowań niemiennych w tym celu; c) z wypracowań pisemnych w tym celu; d) z egzaminu teoretycznego, który obejmował pytania: z systematyki gimnastycznej, z anatomii, fizjologii, higieny, pomocy w razie uszkodzeń i t. d. Trzeba mieć nadzieję, iż przygotowanie odpowiednich sił nauczycielskich, wpłynie korzystnie na wprowadzenie nauki gimnastyki w szkołach żeńskich i od frazesów na temat potrzeby „zdrowych matek“ przejdziemy nareszcie do racjonalnych starań o wzmacnianie rozwoju fizycznego dziewcząt.

— W Łodzi na podstawie projektu, zatwierdzonego przez władzę wyższą, otworzono *szkołę rzemiosł* dla dziewcząt wyznania mojżeszowego, składającą się z oddziałów: ogólnego i specjalnych. W dziale ogólnym wykładane są języki: rosyjski, polski i niemiecki, arytmetyka, geografia i krótki rys historii naturalnej i powszechnej, buchalterya i rysunki. W oddziałach specjalnych: nauka gospodarstwa domowego wraz z kucharstwem, krój sukien, hafciarstwo i introligatorstwo.

— W Budapeszcie doktoryzowała się po raz pierwszy kobieta hr. *Hugonay*, która już od lat 22 zajmowała się studjami medycznymi.

— W Londynie, praktykuje obecnie w Royal Free Hospital, miss Ella Scarlett, siostra lorda Aünker, której znudziły się tryumfy wielkich salonów i zwróciła się do trudnej pracy medycznej, a w roku przyszłym, zapoznawszy się z językiem Hindusów, zamierza zostać lekarzem przybocznym na dworze jakiego maharadży indyjskiego. W ogóle w Anglii działalność kobiet na polu medycyny i nawet chirurgii zyskuje coraz więcej poparcia i wydaje coraz liczniejsze pomyślnie skutki; np. w nowym szpitalu dla kobiet w Custon Road, w Londynie, gdzie ordynują same tylko kobiety, na dziewięćdziesiąt ciężkich afekcyi, zaszły tylko dwa wypadki śmierci.

— W kasie oszczędności wrocławskiej, od 1 kwietnia pracuje kilka kobiet w dziale przyjmowania książeczek.

— Liczba dyurnistek w sądach galicyjskich wzrasta, z powodu, że na skromną tę posadę, dającą 30 złr. miesięcznie, trudno znaleźć odpowiednich kandydatów-mężczyzn. Władze zadowolone są z pełnienia służby kobiet i chętnie przystają na powierzenie im tej posady.

— Inspektorki przemysłowe nadzorujące we Francyi pracę kobiet i dzieci okazują się bardzo gorliwymi i pożytecznymi. Pani von Laforques np. na 1000 szwalni, magazynów mód i krawiectwa odbyła 2,083 inspekcji. Przeciętnie więc była dwa razy do roku w każdym zakładzie i to 108 razy w nocy, a 130 w niedziele. Wówczas gdy jej koledzy inspektorowie, dokonali zaledwie 1,500 do 1,800 inspekcji, z tych tylko 54 w nocy i 17 w niedziele.

— Pani Marya Locroma z wielkim talentem i odczuciem opisująca cuda natury, jest jednym z literatek austriackich, która wezwana została do współpracownictwa w przepysznej wydawnictwie jubileuszowym „Nasza monarchia“, które obecnie zaczęło wychodzić w Wiedniu w 24 zeszytach. Pani Locroma opisywać będzie wybrzeża i wogóle całą Dalmacyę.

— W Berlinie poraz pierwszy występowała w koncercie p. Wanda Landowska, a kompozytorski jej talent zyskał odrazu wielkie uznanie. Piosenki jej: „Rozkosz w maju“, „Chochołki“, „Deszcz wiosenny“, przemawiają do serca głębią i uczuciem, błyszczą temperamentem i wrażliwością. Krytyka stawia najwyższe utwory na fortepianu jak: „allegro agitato“, „allegretto giocoso“ i inne.

## Z bieżącej chwili.

— Ministeryum oświaty poleciło władzy naukowej zebranie dat statystycznych, dotyczących liczby gimnazjów, szkół realnych, uczęszczających do nich uczniów i t. d. w Królestwie Polskim. Ze sprawą tą związany jest projekt budowy oddziałów równoległych przy niektórych średnich zakładach naukowych.

— Grono pracowników pióra przygotowało projekt ustawy Warszawskiej Kasy Przejrzystości i wzajemnej pomocy dla literatów i dziennikarzy. Projekt ten przedstawiony zostanie wkrótce władzy do zatwierdzenia.

— Dnia 18 b. m. zmarł w zakładzie swoim w Wörishofen, znany na cały świat twórca metody leczenia, ks. Sebastyan Kneipp. Urodzony w r. 1821, poświęcił się początkowo tkactwu, później studiował teologię, a po otrzymaniu święceń kapłańskich został w r. 1881 proboszczem w Wörishofen. Działalności jego przypominać nie trzeba, zbyt bowiem dobrze znana jest ona publiczności naszej. Miał on przy sobie kilku lekarzy dla przeprowadzenia dyagnozy, sam zaś przepisywał tylko kuracyę. Polegała ona głównie na środkach naturalnych, jak woda zimna, powietrze i ruch. Nadzwyczaj uczynny i dobroczynny leczył zupełnie bezpłatnie, nie żądając ani czasu, ani trudu dla bliźnich. Przyniósł ty te, jak również ulgi, jakie metoda jego przynosiła w cierpieniach, stawiają go w rzędzie dobroczyńców cierpiącej ludzkości.

Na pomnik Adama Mickiewicza złożyli za pośrednictwem Administracyi „Bluszczu.“

D-wa L. Bąkowska	rs. 10
M. Glücksberg	„ 75
Hincz Karol i Klementyna	„ 5
Zygmunt R.	„ 5

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 5-ty T. I, powieści p. t. *Marzenia*, przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

**Treść:** Pierwszy zjazd kobiecy w Czechach (dalszy ciąg).—Memento wiosenne, przez Miłę Smochowską. — Od komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie. — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Na łasce Powieść przez M. N. Saszącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Marzenia*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 5 T. I. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 27 wzorów i robot z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.